

danowicz przedewszystkiem jednak jest poetą, i w tym charakterze znany szerokim kołom pod pseudonimem Bożydara. Przeważna część jego erotyków i poezyj lirycznych zdobiła szpalty *Kurjera*, a strofy na śmierć Kraszewskiego pewno na długo przetrwają w sercu i pamięci czytelników jako utwór prawdziwego poetyckiego natchnienia.

Antoni Skrzynecki zasilał wiadomości bieżące najobficiej i odznaczył się istotnie niezwyklej ruchliwością i uzdolnieniem w tym kierunku. Stałe pensjonowane miejsce w *Kurjerze*, w tymże samym dziale, zajął wkrótce obok niego **Franciszek Reinstein**, znany humorysta.

Jeżeli dodamy jeszcze jowialnego **Aleksandra Zygmunta**, rodzaj redakcyjnego *fac-totum*, piszącego listy według wskazanego tekstu, reportera od wiadomości kościelnych, i współzawodnika Arona Tenenbauma w szaradach i logogryfach, będziemy mieli prawie cały skład redakcji w różnych jej zmianach przez lat osiemnaście.

V.

Nie na samych współpracownikach stałych, których poczet, przynajmniej wybitniejszych, rozdział poprzedni przedstawia, opierał się *Kurjer*. Z chwilą wprowadzenia odcinka i rozszerzenia rozmiarów pisma wszyscy autorowie polscy pomieszczali w *Kurjerze* swoje prace. Poczynając od Nestorów naszej literatury: J. I. Kraszewskiego, T. T. Jeża (Milkowskiego), Adama Pluga (Antoniego Pietkiewicza), Jana Zacharyasiewicza; poetów, jak: Norwida, Lenartowicza, Asnyka, Faleńskiego, Szujskiego, Anezyca, Deotymy; profesorów Szkoły Głównej, wszechnicy krakowskiej, lwowskiej — nie masz prawie ani jednego nazwiska opromienionego aureolą sławy i zasługi, któreby na łamach *Kurjera* nie błyszczało, choć raz jeden szpalt pisma nie przyozdobiło. Znajdzie każdego tu czytelnik w spisie bibliograficznym, równie ze starych jak i z owych młodych, którzy z nimi tak zawziętą przed laty rozpoczęli walkę. Można by powiedzieć, że pismo zamożne, które wywalczyło sobie świetne powodzenie materialne, miało środki na to, by nabywać powieści, poezje i artykuły najznakomitszych w kraju pisarzy.

Niezawodnie stać było *Kurjer* na to, ale Szymanowski nie zasklepił się w tem gronie znanych i uznanych powag nauki i literatury. Przyjawszy za zasadę niewzruszoną, że tylko utwory oryginalne w łamach pisma drukować będzie, wyszukiwał młode talenty, które faktycznie w świat wprowadzał, dając, przez drukowanie ich pierwszych utworów, najskuteczniejsze

poparcie moralne, a i materialny, jak na nasze stosunki, zasilek znaczny. Uśmiechała się też każdemu z autorów myśl wielkiej popularności, jaką dać mógł *Kurjer*. Dwadzieścia przeszło tysięcy abonentów! toć to co najmniej dziesięć razy tylu czytelników, którzy dziś poznają nazwisko do wczoraj nieznane nikomu.

Ale właśnie ta poczytność *Kurjera* wprowadziła niezawodnie nie nowy czynnik w nasze stosunki literackie i dziennikarskie, lecz w każdym razie po raz pierwszy z tak potężnymi środkami działania: reklamę. Nie miejsce tu zastanawiać się nad samem pojęciem rzeczy i wyrazu, nad charakterem, dodatniami i ujemnemi stronami reklamy. Siła to wielka, broń potężna, mogąca oddać istotne przysługi społeczeństwu, gdy wpływowym dziennikiem kierują ręce uczciwe; wstrętna i szkodliwa, gdy nią rozporządza dziennikarz złej wiary, sprzedajny mekler sławy, charakter niski lub podły. Dziś już doszliśmy do tego, że żadna praca społeczna, żadna instytucja użyteczności ogólnej bez reklamy obejść się nie może; potrzebuje jej każda myśl nowa, dzieło wiedzy czy talentu, równie genialny wynalazek, jak nędza wzywająca ludzkiego miłosierdzia.

Kurjer Warszawski, wzrastając w tak wielką liczbę prenumeratorów, rozporządzał też i najszerszemi środkami reklamy. Nie o ogłoszeniach tu mowa, które do działalności redakcji się nie liczą; ale *Kurjer* mógł pomagać i szkodzić, kierować do pewnego stopnia opinią publiczną, fabrykować sławy i wielkości, zrzucać posągi z cokółów. Mógł nawet zabijać milczeniem według gadzinowej formuły niemieckich dzienników „*Todtschweigen*”. Że sprzedajnem pismo nigdy nie było, że ręce Szymanowskiego pozostały do śmierci równie czyste, jak jego sumienie, o tem najzaciętszy wróg jego nie wątpił.

Przez parę lat współpracownicy szli zwartym szeregiem, ale nie trzymali się krańcowo dewizy: kto nie z nami, ten przeciwko nam. Reklamowali się trochę przez poczucie koleżeństwa, a nieprzychylność swoją zaznaczali w sposób zakrawający bardziej na młodzieńcze figle, niż na zawziętość wrogów. Szymanowski i przeciwko temu protestował, ale uleść musiał, gdy starsi współpracownicy dali się pociągnąć do koleżeńskiej koterji i nawet komendę w niej objęli. Wina za te grzechy *Kurjera*, które zresztą nigdy nie były zbyt wielkie, nie jego obciąża, a choć może dotkliwie uczuć się dała niektórym autorom, artystom, wydawcom i na odwrót zniżyła nieco poziom krytycznego sądu publiczności, szkód większych w społeczeństwie nie przyniosła.

Jeżeli bezstronność każe się przyznać do win i błędów, to wolno mówić o enotach i zasługach, które je stokrotnie okupują. *Kurjer Warszawski* pod redakcją Szymanowskiego przerodził się w dziennik poważniejszego znaczenia, a jak u nas, prawie w instytucję publiczną. Wypełnił zobowiązania,

jakie przyjął względem ogółu w pierwszej odezwie redakcyjnej. Służył uczciwie, sumiennie i wiernie sprawie publicznej. Wykształcił dziennikarzy, wyrobił współpracowników, całe pokolenie piszących, którzy, z powołania oddając się piśmiennictwu, odtąd znaleźli w nim, przy zadowoleniu potrzeb moralnych, i chleb powszedni, byt materialny, jakiego dawniejsi zdobyć nie mogli. Prawdą jest, że dziennikarstwo zubożyło się u nas kosztem literatury, ale objaw to ogólny w całej Europie. W bogatszych krajach dwie odrębne gałęzie piśmiennictwa mogą jednak żyć obok siebie, wspomagając się tylko wzajemnie. U nas dzienniki powoli pochłaniają siły literackie i w miarę wzrostu poczytności pism periodycznych, pokup na książki upada. Niestety, nawet i w sztuce prawo o popycie i podaży sprawdza się jako pewnik niewzruszony: literatów coraz mniej, ale za to ilość reporterów wzrasta. Nie jest to jednak winą *Kurjera*, że literatów zamieniał w dziennikarzy; kto wie, czy w naszych stosunkach grzech główny nie spada na wadliwą organizację handlu księgarskiego, na najfatalniejszy stosunek autorów do nakładców? Zresztą łatwo jest powiedzieć, że jakiś talent zmarnował się w pracy dziennikarskiej, że byłby więcej tworzył, albo lepiej, gdyby nie musiał codziennie pisać artykułów, obrabiać jakiejś rubryki w gazecie. Tak twierdzić można, ale trzeba dowieść prawdy twierdzenia. Gdyby ono nawet nie było gołosłownem, to jeszcze *Kurjerowi* najmniej-by zarzucić można zmarnowanych talentów, wyssanych do ena przez dziennik ludzi nauki lub natchnienia. Pismo nasze nie wytwarzało sobie beletrystyki specjalnej, tak, jak to robią do dziś dnia dzienniki francuskie. W wyborze powieści pannał zawsze kierunek zdrowy, nie narzucano autorom formy i treści dla mas najpoczytniejszej. We wszystkich rocznikach *Kurjera* mogą się znaleźć rzeczy lepsze lub gorsze: niemasz ani jednego utworu pozbawionego wszelkiej wartości literackiej, rażącego skandalem lub podniecającego niezdrową ciekawość tłumu. Szymanowski dbał wielce o godność literatury i nie szedł też drogą schlebiania złemu gustowi czytelników. Nie marnowały się więc talenty w *Kurjerze* zniżaniem poziomu twórczości, a że się nie wyczerpywały przy stałych zajęciach w piśmie, najlepszy dowód wyliczonych nazwisk współpracowników, z których ani jeden w *Kurjerze* tworzyć nie zaprzestał.

W samem piśmie za to — jakież zmiany przez lat 18! Objętość powiększona parokrotnie, dwukrotna edycja, codzienny numer bez przerwy niedziel i świąt, korespondencji własni w głównych europejskich stolicach, obsługa telegraficzna, dorównywająca, nie tylko szybkością telegramów, ale i wiernością informacyj, wielkim dziennikom europejskim — cała maszyna redakcyjna zorganizowana i funkcjonująca wzorowo. Oto rezultaty pod redakcją Szymanowskiego.

Pierwsza redakcja *Kurjera Warszawskiego* z czasów Szymanowskiego

mieściła się na górze w oficynie domu, którą później zajmowały ekspedycje i maszyny. Na dole był wtedy kantor do przyjmowania ogłoszeń i prenumeraty z lewej strony sieni, na prawo stała maszyna drukarska. Na pierwszym piętrze, na prawo, była zecernia, a na lewo pierwszy pokój także zajmowali zecerzy, drugi i trzeci redakcja.

W pokoju środkowym stał wielki stół, przy którym pisali razem wszyscy współpracownicy, a w ostatnim, małym, pokoiku stało biurko redaktora i parę stolików, wspaniale wytartą skórą krytych.

Pierwszą osobą, którą spotykał interesant, wchodzący do redakcji, był Czerniejewski, dyspozytor drukarni, a zarazem metrampaż [*metteur en pages*] a właściwie po polsku: łamacz w szpalty] *Kurjera*. Drugim przedstawiał mu się pan Maciej, najstarszy towarzysz sztuki drukarskiej w Warszawie, zawsze od świtu do mroku przy kaszie, od chwili założenia *Kurjera* przez Kicińskiego nie opuszczający swego stanowiska. P. Maciej doczekał się 50-letniego jubileuszu, ale też aż do śmierci przez wydawców trzymany był na łaskawym chlebie, upozorowanym jakimś łatwym zajęciem, bez którego pocziwy starowina nie byłby przyjmował swej dobrze zasłużonej emerytury.

Co innego Czerniejewski. Był to nieczciwy człowiek i dobrze z zawodem swoim obznajomiony, ale narzucający się, niezdolny, nudny jak lukrecja; uważał się za najgłówniejszą w *Kurjerze* osobę. Michaux tytułował go „panem redaktorem”, co mu wielce do przekonania trafiało... Rolę redaktora Stanisław-Kostka Czerniejewski przyjmował zupełnie na serjo, i zaczął każdego wchodzącego, badając: jaki ma do redakcji interes?

Dopiero Fryze, przemierzwszy sznurkiem miejsce, zajmowane przez zecerów w pierwszym pokoju, przekonał Szymanowskiego, że można ich przenieść do towarzyszków na prawo, że redakcja zyska w ten sposób jeden pokój a straci drugiego redaktora w Czerniejewskim, co jej z pewnością na złe nie wyjdzie. Została więc redakcja uvolniona od „pana redaktora”, w owych dwóch kletkach z przedpokojem, który później zniknął także, bo ścianę zniesiono dla powiększenia głównego pokoju. Czerniejewski za to przewędrował najprzód do zecerni, a później do pokoiku z prawej strony, na dole około maszyn. Żeby się uchronić od jego ciągłej obecności, bo co chwila miał nowe jakieś wątpliwości co do manuskryptów, urządzono mu tubę z dołu i przez nią się z redakcją rozmawiał, wkraczając uroczyście tylko około godziny 2-ej po południu z numeracją.

Długo jeszcze po usunięciu się Czerniejewskiego z drukarni kursowały anegdoty o nim w redakcji i zecerni. Dawał on do *Kurjera* wiadomości kościelne i tak się przejął stylem, w jakim je z całym namaszczeniem składał, że już wszystkie artykuły dawane mu do składania sądził w sposób wielce

oryginalny ze swego punktu widzenia. Dla niego rzecz była napisana albo pobożnie, albo niepobożnie: innych określeń nie znał. Więc wiersze Mirona były pobożne, krytyka teatralna była pobożna, nawet reklamacje i ogłoszenia, o ile Czerniejewski dobrze dla autora i interesanta był usposobiony. Jeżeli tylko pokłócił się z Mironem lub któryś z redaktorów mu dociał tak, że to odczuł, wtedy już wszystko było niepobożnem, nawet cały numer *Kurjera*. Wyłączał wtedy z niepobożności tylko wiadomości kościelne. Ale zdarzały się wypadki, że jakiś reporter przyniósł dane o restauracji kościoła lub też, że ktoś ze współpracowników w artykule o sztukę kościelną lub ceremonje religijne zatracił. Wtedy trzeba było widzieć oburzenie Czerniejewskiego na podobne wdzieranie się w jego atrybucje. Bezbożnym był, kto to napisał, bezbożnym jego artykuł, *Kurjer* wydrukował bluźnierstwo godne tylko pogan lub heretyków. Świat się kończy, ziemia się zapada! Michaux wtedy dolewał mu oliwy do ognia, jątrzył go, drażnił, a kończył pytaniem, które do wściekłości biedaka doprowadzało:

— „Dlaczego pan masz czerwieńszy nos niż zwykle, panie Czerniejewski? Pewno się i „pod Gwiazdą” wypilo więcej niż zwykle.”

Wtedy nagle podniecenie Czerniejewskiego ustawało; sapał tylko i wzdychał, i z miną prześladowanej ofiary powracał do zecerni, zostawiając spokój redakcji na parę godzin.

Ale sławne też były pytania Czerniejewskiego przez tubę: „Czy nie ma tam śmierci?” albo „przydałoby się parę małżeństw” — to znaczyło, że potrzebuje nekrologa, albo doniesień o ślubach, dla zapelnienia numeru. Melodował też często: że „Anglja już za stara” i trzeba ją rozebrać, albo znów, opierając się na podobieństwie kilku wyrazów, że jakiś artykuł już był drukowany i że teraz drugi raz redakcja przysyła go do składania. Przytem wyrazy, których nie rozumiał, przekręcał w sposób najkomiczniejszy, a przedmiot, który wywołał jego interpelację, zawsze już był bezbożny, równie stara Anglja, której mu rozebrać nie dano, jak „elektryka” (elektrotechnika), wynalazek najwyraźniej szatański.

Kiedy się już minęło szczęśliwie Czerniejewskiego, istnego inkwizytora, dalszy przybytek redakcyjny nie budził podziwu swoją wspaniałością. Ruch zato i gwar panował ciągle przy wielkim stole. Właściwie głównem źródłem wiadomości *Kurjera* była z początku sama publiczność, znajomi redaktora i współpracowników, a często nawet i nieznamomi, którzy właśnie po te wiadomości przychodzili. Wehodzi jakiś pan X. do redakcji:

— Przepraszam, czy państwo macie już bliższe szczegóły o wypadku...

Nikt nie wie o żadnym wypadku, ale Fryze, z niezrównanym tupetem, zapewnia tego pana, że redakcja wie wszystko, a za chwilę powróci reporter z nowymi szczegółami. Przez ten czas X. opowiada wszystko, co wie

o wydarzeniu, które go zaciekawia, i formuje się pierwsza wersja jakiejś wiadomości bieżącej, którą nowi przybysze uzupełnią, nie spostrzegłszy się wcale, że się z nich ściąga dziennikarski protokół.

Z jakim trudem wyrabiały się wtedy pierwsze zaczątki reporterji u nas, jeden przykład przekona. W pociągu kolei żelaznej między Radziwilłowem a Skierniewicami wydarzył się tajemniczy wypadek, który zajmował całe miasto równie ze względu na sam fakt, jak i na osobistość ofiary. Obywatel ziemski C. wypadł przez uchylone drzwiczki wagonu tak nieszczęśliwie, że po kilku miesiącach zmarł, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności. Czy to była zbrodnia, czy chęć samobójstwa, lub tylko skutki nieostrożności — dotąd pozostało tajemnicą, ale chodziło o szczegóły, które-by reporter posłany na miejsce mógł zbadać i tem samem *Kurjerowi* ściągnąć znaczną ilość zaciekawionych faktem czytelników. Pomysł podaje Fryze, żeby wysłać takiego reportera na miejsce wypadku — rzecz dotąd w pismach warszawskich niebywała! Wyprawa taka jest rzeczą o tyle ważną, że prowadzi się o niej obszerną dyskusję, zastanawia się nad wyborem osoby korespondenta, planem podróży, a nadewszystko nad kosztami, zawsze jeszcze wtedy najdrażliwszą stroną dla wydawców. Znalazł się nareszcie współpracownik, który za sześć rubli, w połowie zgóry zaliczone, podjął się tak poważnego posłannictwa. O wypadku przyszła wiadomość telegraficzna do teścia pana C., z kąd ją otrzymał *Kurjer* tego samego dnia, pozostawało więc dosyć czasu do wyprawienia reportera i otrzymania od niego wiadomości do następnego numeru. Według rozkładu kolejowego obliczono, że jeżeli ów korespondent wyjedzie pociągiem, czy to o 6-ej rano, czy o 8-ej z minutami, zawsze jeszcze może być z powrotem przed oddaniem pisma na prasę. Ponieważ jednak na oba te pociągi mógłby się spóźnić, przyjęto jeszcze w rachubę i trzeci pociąg, wychodzący z Warszawy o 11-ej rano. Tu już pozostaje tylko telegraf, z którego musiałby korzystać, aby wiadomości na czas do *Kurjera* doszły.

Wziąwszy zaliczkę i tak dokładną instrukcję, delegat przyrzeka się nie spóźnić i szybko opuszcza redakcję, aby się wywczasować przed podróżą i nie zaspać pierwszego pociągu. Na drugi dzień od rana cisną się tłumy ciekawych do redakcji, rozpytujac o dopełnienia wiadomości wczorajszej.

— Spodziewamy się lada chwila depeszy. Współpracownik *Kurjera* pojechał na miejsce wypadku — odpowiadają wszystkim znajomym i nieznajomym współpracownicy, przejęci słuszną dumą ze znaczenia pisma, które sobie na wysyłanie własnych korespondentów pozwolić może. Mijają jednak godziny za godzinami, fłok coraz większy, nawet rodzina żony pana C. co chwila przysyła, czy już nadeszły owe zapowiedziane depesze: a tu wieści od wysłańca ani śladu!

O 4-ej po południu trzeba było oddać numer do drukarni, bo dłużej już czekać nie sposób. Szymanowski z Fryzem robią najrozmaitsze przypuszczenia: co-by się stać mogło z korespondentem czy depeszą, aż nareszcie, bardzo markotni z nieudanego pomysłu, wychodzą na Plac Teatralny już po wydrukowaniu numeru, około 5-ej po południu. Pierwsza osoba, jaką spotykają przed bramą, jest zagubiony reporter.

— Co to jest? co się stało? pociąg się spóźnił z powrotem?

— Nie.

— A więc cóż? Dlaczego pan tak późno powracasz?

— Ja nie powracam; ja dopiero idę na kolej.

— Jakto? więc pan nie jeździłeś?

— Spóźniłem się i na trzeci pociąg...

To jedno nie było przewidziane w myśle Fryzego, ani instrukcji redakcyjnej! Fakt ten maluje do pewnego stopnia trudności, jakie napotykał Szymanowski w prowadzeniu pisma w pierwszych czasach. Z reporterami był zawsze kłopot, a wtedy znów jeszcze większy, niż dzisiaj.

Jeżeli dużo czasu potrzeba było, aby wyrobić sobie reporterję ruchliwą i sumienną, zato prędzej daleko pozbywano się współpracowników prawdziwie zapleśniałych w dawnej rutynie *Kurjera*. Politykę, na przykład, opracowywał dawniej urzędnik sądowy, zdaje się tłumacz przysięgły, Jan-czewski. Ponieważ to był człowiek bardzo sumienny i obawiał się, aby przez niedostarczenie w porę jego polityki *Kurjer* opóźnieniu nie uległ, więc w niedzielę przygotowywał ją na cały tydzień, i w poniedziałek rano przynosił do drukarni parę arkusików z napisem: na dziś, na wtorek, środę i t. d. W ten sposób pod rubryką ostatnich wiadomości, w sobotę na przykład, czytelnicy *Kurjera* znajdowali to, co w gazetach zagranicznych drukowaniem było na tydzień przedtem. Miłkowski, co prawda, pisał politykę z dnia na dzień, ale „biały murzyn” był wielkim amatorem wszelkiego rodzaju spirytualjów, a że pijany wierszy nie składa, więc trudno było być pewnym, czy w zamroczeniu alkoholicznem i Miłkowski jakiejś bredni, mogącej skompromitować pismo, nie napisze.

Czuwano też starannie nad Miłkowskim, szczególnie w godzinach rannych, ale niestety! zdarzało się, że przychodził on przed południem z widocznymi śladami spędzonej w bawarji nocy. Trzeźwiono go forsownie oblewaniem wodą zimną, a czujną straż pełnili przy nim Łuniewski i Walicki, żeby nie chodził dolewać. Gdy jednakże nie można było odratować Miłkowskiego, Szymanowski zwracał się do Wincentego Korotyńskiego, który z *Gazety Warszawskiej* przysyłał politykę na poczekaniu, a był także współpracownikiem *Kurjera* aż do śmierci, pisując pod literą Q w pierwszych latach i pod

rozmaitemi pseudonimami. Z wejściem Krzemińskiego dopiero dział polityczny przyprowadzono do porządku.

Z pierwszych czasów *Kurjera*, gdy humor i wesołość panowały największe, odznaczał się dowcipem szczególnie Szymanowski, Fryze i Michaux, choć ten ostatni zawsze był kostyczny i docinkowy.

Z dowcipem Szymanowskiego można się najlepiej zapoznać w kronikach *Tygodnika Ilustrowanego*, oraz w „Nowych ramotach” i w „Obrazkach Warszawy”, gdzie jest historia o owej przekupce ze Starego Miasta, która, pomimo wyparzonego języka, nie mogła przegadać literata. Fakt podobno był autentyczny. Szymanowski założył się z Kostrzewskim, że sławną panią Maciejową przegada. Powracali do domu nad ranem i poszli na Stare Miasto, wyczekując przybycia *Sans Gène* warszawskiej. Szymanowski stanął przed straganem, na którym rozkładała pieczywo i owoce, i powtarzał ciągle żądanie, aby mu dała bułkę za grosz, nie ustępując pod gradem obelg, jakimi go pani Maciejowa bombardowała. Kostrzewski całą tę historję sportretował, i siebie z Szymanowskim oraz panią Maciejową, dla przyszłych pokoleń, przy humorystycznym tekście Szymanowskiego, uwiecznił.

Próbę dowcipu Mirona znaleźć można w polemikach *Kurjera*, a były one w swoim czasie rozgłosne. Tu odmieniał przez wszystkie przypadki nazwisko p. Józefa Zelta, tam łączył jubileusz dziennikarza z baletnikiem, owdzie zjadliwe zapytanie dyrektorowi orkiestry stawiał: co robił na zebraniu w resursie, jeżeli tam nie przygrywał?

Inny rodzaj dowcipu miał Fryze. Oto próbka: Kiedy zakładano tanie kuchnie (w czem, nawiasem mówiąc, znaczną ma zasługę *Kurjer Warszawski*, bo pismo to było ich iniejatorem i popierało je najusilniej), damy filantropijne zapisywały się do nich na dyżury, aby pilnować równie zakupów, jak przyprawiania potraw i obsługi. Z początku było aż za wiele tych opiekunek, tak, że zmieniały się co godzina lub dwie w ciągu dnia. Wkrótce jednak, jak to zwykle bywa u nas, pierwszy zapal ostrygł i dam dobroczynnych coraz mniej zgłaszało się do pełnienia filantropijnych obowiązków. *Kurjer* jednak nie przestawał ogłaszać tabelki dyżurów, tylko w rubryce imion i nazwisk pod niezajętymi godzinami drukował: żadna. Otóż Fryze pisze o tem mały artykułek i robi uwagę, że najwytrwalszą z dam dobroczynnych warszawskich jest pani „Żadna”, bo ją najczęściej na dyżurach w Taniach Kuchniach spotykamy.

Fryze także podawał genialny projekt w czasie zawieszenia *Kurjera*, żeby redakcja obchodziła z katarynką domy warszawskie i żeby każdy ze współpracowników recytował swój artykuł zebrany na podwórku słuchaczom. W każdym razie był to pierwszy pewno pomysł „mówionego dzien-

nika“, nim go jeszcze, jako zabawkę na cel filantropijny, Francuzi w Paryżu wynaleźli.

W redakcji życie płynęło wesoło, i nie w tem dziwnego, gdy przeważnie składała ją młodzież, dla której śmiech od smutku właściwszy. Po południu pijano czarną kawę, za którą kolejno ktoś płacił, a przynoszono ją od Ferrari'ego z rogu Senatorskiej, bo była tańsza, niż u Loursa. Naturalnie, w redaktora wmawiano najczęstszą kolejkę. Ponieważ się od niej usuwał, wymawiając się interesem na mieście, czy jakimś zajęciem w domu, więc złożono mu raz likwidację do kasy, a drugi raz posłano pozew, najformalniej na papierze stemplowym i przez woźnego trybunalskiego wręczony.

Gustawowi Gebethnerowi, który był dla redakcji reprezentantem wydawców, a jako człowiek uczynny i uprzejmy, bardzo przez wszystkich lubionym, także płatano nieraz niewinne figle. Kiedy pojechał za granicę oglądać maszynę, którą *Kurjer* miał sprowadzić, przygotowano dla niego numer specjalny, odbity w kilkunastu egzemplarzach. Numer ten zawierał wiadomość o powrocie Gebethnera, znakomitego pszczolarza, który jeździł do Niemiec, Francji i Anglii studjować sprawę ulepszonych ulów. Wysłano egzemplarze w dniu jego powrotu do mieszkania, do księgarni, do cukierni, do której uczęszczał, i do kantoru *Kurjera*, uprzedziwszy wszędzie, żeby mu go na żądanie podano. Z początku istotnie Gebethner przypuszczał, że to figiel, ale gdy zobaczył taki sam numer wszędzie, gdzie się obrócił, uwierzył naprawdę, że to dla wszystkich czytelników podobną wieść ogłoszono. Wpadł też zadąsany do redakcji z wymówkami, oburzony na podobny wybryk co do jego osoby względem prenumeratorów. Naturalnie, że w końcu mistyfikacja się wydała, a rezultatem jej była wesoła bibka, tegoż wieczora przez p. Gustawa na przeprosiny wyprawiona.

Już-to tych bibek było wogóle dużo w *Kurjerze*, ale miały one zupełnie odmienny charakter od dawniejszych dziennikarskich pijatyk lub knajpiarskich posiedzeń przy wódce i piwie. Z początku był to rodzaj gratyfikacji, zachęty dla współpracowników. Wydawcy nie wiedzieli jeszcze, jak stali, czy i jakie zyski przynosi im pismo, nie mogli też i pensji dawać większych, ani podwyższać wynagrodzenia od wiersza. Łatwiej im było wydać kilkanaście rubli na obiad lub kolację w restauracji, a taka wspólna biesiada, której daleko było od nazwy lukullusowej, łączyła w węzeł ściślejszej zażyłości kolegów między sobą. Z początku odbywało się to bardzo skromnie w sąsiednich z *Kurjerem* restauracjach drugorzędnych, a ryba, kawałek mięsa i dwa kieliszki wina na osobę zadowalniały wymagania nie przyzwyczajonej do zbytków drużyny dziennikarskiej. Potem—każdy tysiąc przybytku prenumeratorów, rocznice, ważniejsze święta obchodzono w ten sam sposób, aż z upływem czasu, gdy *Kurjer* i pod względem finansowym dawał

rezultat materialny pomyślny, były to już przejęcia okazalsze, wciągnięte w budżet *Kurjera* jako stały ciężar w rubryce reprezentacji. Utrzymywały się głównie dwie takie daty w *Kurjerze*: wigilia Wigilii i Wielki Piątek, z powodu postu obie „rybkami kurjerowemi” zwane. Zbierali się na nich nie tylko stali współpracownicy, ale i goście: literaci i dziennikarze, bliżej z *Kurjerem* związani. Dobrą stroną tych zebrań było to, że stanowiły spójnię towarzyską warszawskiego dziennikarstwa, a zbliżenie się przy jednym stole powstrzymywało od jaskrawych wyskoków polemiki i zbyt ostrych manifestacyj konkurencyjnych.

Jednym z ciekawszych wydarzeń w *Kurjerze* było powiększenie formatu w r. 1871. Szymanowski nie był temu przeciwny, ale lękając się zwiększenia kosztów wydawnictwa, pomimo upominań się redakcji, odwlekał sprawę od miesiąca do miesiąca. Kiedy wreszcie oznaczył dzień owego powiększenia formatu, a później znów się wahał z wykonaniem obietnicy, cała redakcja *in gremio* wyemigrowała na podwórko, żądając dotrzymania słowa. Było to humorystyczne bezrobocie, któremu jednak dziwny zbieg wypadków dodał poważniejszą pieczęć. Jak wiadomo, właścicielka *Kurjera* Zabłocka sprzeciwiała się ciągle powiększeniu i reformom pisma. To spowodowało głównie wyrzucenie jej z własności *Kurjera*. Otóż tego samego dnia, kiedy współpracownicy pisma siedzieli na podwórku, domagając się powiększenia formatu, właśnie sukcesorka Dmuszewskiego umarła. A kiedy pierwszy numer powiększony wychodził z pod prasy i przyniesiono go do rąk Szymanowskiego, pogrzeb jej przechodził przez plac Teatralny. Szymanowski poczytywał to za złą wróżbę i utrzymywał też, że się sprawdziła, gdy wkrótce zaczęły się przejścia ze Statkowskim, które istotnie bytowi pisma groziły.

Dział dobroczynności w *Kurjerze* reprezentowała Aniela Bogusławska, prowadząc go przy pomocy siostr miłosierdzia. Nie było jeszcze wówczas licznych instytucyj filantropijnych, które później dopiero powstały, może i nędra nie była tak wielka w mieście; ale w każdym razie posada „panny Anieli” wcale do synekur liczyć się nie mogła... Wysoka, silnie zbudowana, z twarzą niepiękną, bo ospą zszpeczoną, ale zato bardzo sympatyczną, nie była już panna Aniela zupełnie młodą, kiedy ją wydawcy do czynności dobroczynnej szafarki powołali. Panna Aniela ze swoim nierozłącznym pinczerkiem Bijou codziennie pojawiała się w redakcji, zawsze orędując sprawę jakiegoś biedaka. Przekomarzano się z nią, Luniewski i Prus opowiadali niestworzone historie o różnych podstępnie zastawianych sidłach na Bijou, na którego zawzjął się jakiś anglik, żeby go wykraść właścicielce, i panna Aniela tak wierzyła szczególnie historjom zmyślonym przez Prusa, że zamykała się w mieszkaniu ze swoim faworytem, nie wychodząc na miasto nie-

raz przez całą dobę z obawy, aby jej agenci owego milorda psa nie ukradli, lub nie odebrali przemocą.

Jakkolwiek panna Aniela administrowała funduszami złożonemi przez prenumeratorów i czytelników, jednak zdarzało się często, że kasa była wyczerpaną, a pomocy dla biedaka potrzeba było doraźnej. Wystarczało wtedy, żeby opowiedziała rzecz Prusowi, a ten zawsze pierwszy z datkiem pośpieszał, zachęcając innych kolegów słowem i dobrym przykładem. Wtedy sypały się, nie ruble, bo o nie było ciężko między dziennikarską bracią, ale czterdziestówki i dziesiątki, w ręce panny Bogusławskiej. W takich chwilach arkadyjska pogoda panowała w stosunkach panny Anieli z jej wrodzonymi prześladowcami, harmonja zupełna *quittes a recommencer* nową historję humorystyczną o Bijou na drugi dzień od rana.

To wszystko stwierdzałoby tylko wesołość i dobry humor w redakcji; praca pomimo to szła raźnie, a choć w lokalu redakcyjnym prędzej figlarny Momus, niż smętna nimfa Melancholja wybrała sobie siedlisko, to jednak serca były tam żywo, współczując dla wszystkiego, co z ogólnem dobrem związane było. Później już *Kurjer Warszawski* zmienił się, przybrał wewnątrz formy biura redakcyjnego. Zniesiono przepierzenie w pierwszym pokoju, który, powiększony, zamienił się na salon rozmowy. Zasiadał w nim Szymanowski, Prus, goście redakcyjni i współpracownicy niestali; tam też załatwiano interesantów. W drugim pokoju siedział Czapelski. Po kręconych wschodach utworzono komunikację z drugim piętrem, a właściwie z poddaszem, na którym zlepieno kilka pokoików dla zwiększonej znacznie liczby współpracowników. Pierwszy z nich zajmował Franciszek Olszewski, drugi — Bronisław Zawadzki z Czesławem Jankowskim, w innym siedzieli Niemirowski, Bogdanowicz, Sabowski, wreszcie w największym — reporterzy, korektorzy i współpracownicy przygodni.

Na dole warczała maszyna od północy do świtu i od zmierzchu do wieczora, a połowę podwórka zalegały legjony roznosicieli. Jakiż to postęp jakie zmiany od owego *Kurjera* z 1867 roku! W samej drukarni, jaki przeskok od pras ręcznych do maszyny rotacyjnej, bijącej ze stereotypów 14,000 egzemplarzy na godzinę! Zanim drukarnia do tej maszyny doszła, zrobiono kilka eksperymentów, nie zawsze wieńczonych dobrym skutkiem, ale zato mających każdy swoją legendę.

Nad tą częścią wydawnictwa panował wyłącznie Gustaw Gebethner. Gdy rosła liczba prenumeratorów, wybierał on się zwykle za granicę, aby obejrzeć w fabrykach odpowiednią do powiększonych wymagań szybkości i wielkości nakładu maszynę drukarską. Kiedy już ją wynalazł, drugą podróż eksploracyjną odbywali we dwóch z Szymanowskim. Po kilku miesiącach przyjeżdżała nareszcie nowa maszyna do Warszawy, a po ustawieniu

jej przez montera, sprowadzonego *ad hoc*, odbywało się uroczyste jej poświęcenie, zakończone ugoszczeniem współpracowników i drukarzy. Otóż jedna z tych maszyn była istotnie wybrana pod jakąś nieszczęśliwą gwiazdą. Szła zwykle od poniedziałku do czwartku, a w piątek, dzień feralny, regularnie odmawiała posłuszeństwa. Wzywano wtedy Niemca maszynistę z zakładów typograficznych Ungra. Niemiec przychodził i stale podawał jeden sposób na puszczenie w ruch odpornej prasy: *Man muss putzen!* — i zabierał się do czyszczenia, które trwało do niedzieli rana. Przez ten czas drukowano *Kurjera* na dawnej maszynie zapasowej; czasem trzeba było i pomocniczej od Ungra pożyczać, a sprowadzano nawet i lokomobilę, gdy się gazowy motor popsuł. Niemiec robił swoje, a maszyna swoje: on pucował i brał



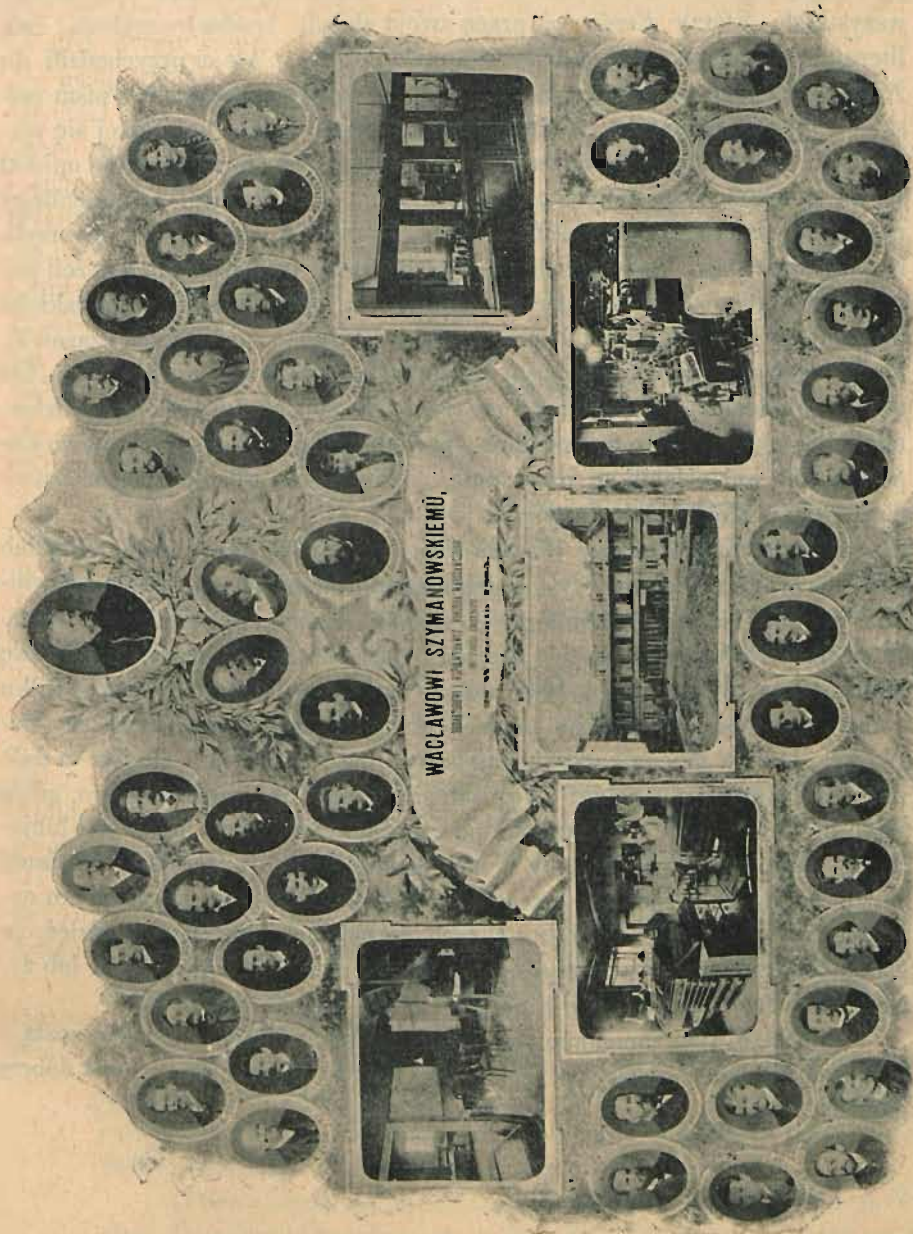
sześć rubli co poniedziałek, a maszyna psuła się co piątek, jak o zakład. Wreszcie, za karę została zdeportowana do zakładów Ungra na Nowolipki, a Gebethner nowe rozpoczął podróże, sam i w towarzystwie Szymanowskiego, aż się przecie porządnej prasy Marinonięgo z Paryża dobili. Nad ową kapryśną maszyną odbywały się przepyszne narady rzeczoznawców, wśród których górował Fryze swemi conceptami. Gebethner zato trudu nie żałował, raz nawet pracował noc całą z młotem i obcęgami, a jak utrzymywał Szymanowski, wodę kubłami z pompy nosił.

Przechowują się dotąd grupy fotograficzne, które 28-go września na imieniny redaktorowi co lat parę składali w upominku współpracownicy *Kurjera* wszystkich działów, nie wyłączając drukarni. Dwie z nich podajemy obok: jedna z r. 1874, druga z r. 1885. Szkoda, że myśl nikomu nie przyszła, zamiast medaljonów, zrobić jakiś obrazek, rysunek lub akwarelę z tych ludzi we właściwym ich charakterze, na tle redakcyjnego lokalu. Dawałoby to o nich jakieś wyobrażenie, przedstawiałoby przynajmniej mo-

menty z ich wspólnego życia, bo fotografia nigdy nie daje pojęcia o właściwej fizjonomji człowieka, tylko o pozie przez niego przybranej.

Oto Szymanowski siedziałby na wprost Prusa przy stoliku szachowym, nie z poważną twarzą, jaką ma na fotografii, ale nawpół uśmiechniony, z tym pocziwym wyrazem małych piwnych oczu, czasem wpatrzonych w przestrzeń, w głębokiej zadumie, to znów lśniących wesołością i dowcipem. Ubrany w szary garnitur, zawsze, jak utrzymywał, z najlepszego materiału i najświeższej mody, w jednej ręce trzymałby cygaro, osadzone w codziennie zmienianej pamiątkowej cygarnicy; drugą dłoń oparłby na stole, i bębniąc przytem palcami takt melodji, którą nucił, zawsze jedną i tę samą i zawsze fałszywie, bo już-to do muzyki stanowczo nie miał powołania. Z drugiej strony Prus, ciemny szatyn, chudy, wysoki, twarz ściągła, w ubraniu zaniedbany, pali swoją „papierówkę” i śpiewa tę samą co Szymanowski melodję, ale ponieważ nie fałszuje, więc się pogodzić nie mogą. Przy nich należałoby umieścić, gdyby grupę robiono w pierwszym okresie redakcyjnym Szymanowskiego, — Kazimierza Łuniewskiego, „słonia”, zroszonego potem, sapiącego, deklamującego najnowszą poezję Wiktora Gomulickiego, której słucha z wielkiem przejęciem Józef Bliziński, ciemny blondyn, trochę już szpakowaty, ale mimo skończonej pięćdziesiątki nie wyglądający jeszcze na czterdziestkę. Jeżeli to godzina południowa, to znalazłby się tam Fryze z Gustawem Gebethnerem i Bronisławem Rajchmanem w jednej grupie rozprawiający o najświeższych zdobyczach mechaniki lub chemji. „Urbaś” Sobolewski opowiadałby Filipowskiemu i Chodorowiczowi jakiś najświeższy wypadek, którego był naocznym świadkiem. I co za skandal! On opisał to, co widział na własne oczy, a redaktor wiadomości pomieścić nie chce, podejrzewając, że jest zmyślona i przesadzona. „Urbaś” mógłby coś zmyślić, twierdzić, że był tam, gdzie nie był? Świat się kończy! Filipowski uśmiecha się złośliwie, ale Chodorowicz słucha z przekonaniem skarg pokrzywdzonego reportera. Czapelski w drugim pokoju. Chudy, średniego wzrostu, pozujący na anglika, w odchylonych szerokich kołnierzykach, z rozwianym fontaziem kunsztownie związanej chustki na szyi, gromi Czerniejewskiego za opóźnienie numeru. Krzeмиński kreśli przed Bogusławskim mapę przyszłych zaborów Francji w wojnie odwetowej, a dla całości obrazu z pierwszych kilku lat nowej redakcji, należałoby umieścić gdzieś i Mirona, podnieconego, zirytowanego jakimś teatralnym ewenementem. Szober, milczący i w ciągłej gorączce, trzęsący się jak galareta, wyczekuje, rychło jego wiadomości repertuarowe zyskają cyfrę redaktora, prawo do druku i honorarium, a Gomulicki z Aspisem gdzieś przy oknie prowadzą rozprawę o poezji wschodniej i rozplývają się w uwielbieniu „Pieśni nad pieśniami”.

Byłaby to mniej-więcej cała kurjerowa falanga z pierwszych lat ośmiu,



kiedy pismo wywalało sobie wpływ i stanowisko przebojem. Potem się już obraz zmieniał; za ciężko-by było w najszerszych ramach pomieścić wszystkich, którzy *Kurjerowi* pracą swoją służyli: trzeba-by wyliczać całą literaturę współczesną, całe dziennikarstwo polskie. Ale ci przychodzili do *Kurjera* już jako do pisma, płacącego najwyższe wynagrodzenie z pism polskich, jako do dziennika, w którym pomieszczony utwór najszerszej się rozchodzi. Stosunek zatem wydawnictwa do tych współpracowników opierał się na wymianie wzajemnych usług i korzyści. Tamci dawni, a szczególnie najdawniejsi,—to siła młodości i rozpędu, która dała pismu życie, stworzyła to, co jest dzisiaj. Borykali się oni z tysiącami trudnościami, a jeżeli pomimo to piór swoich nigdy nie zakazili, jeżeli, przygniecenii lichwiarskimi długami (a któż ich nie miał przy marnym zarobku pierwszych czasów?), nigdy, nawet z wrogiego obozu, na zarzut przedajności nie zasłużyli, toć trzeba im oddać sprawiedliwość i przyznać, że musieli mieć zdolności dziennikarskie wybitne, bo o tem rezultat—powodzenie *Kurjera*—przekonywa i że pewno nie oni osłabili to poważanie, jakie u nas wogóle społeczeństwo dla literatów i dziennikarzy żywiło.

Przyjętym w *Kurjerze Warszawskim* zwyczajem, każdy rok nowy lub każdy przybywający nowy tysiąc prenumeratorów przynosił współpracownikom wspólną biesiadę, gdzie każdego zasługi czczono odpowiednim toastem. W siedemdziesięciopięciolecie *Kurjera* właściciele jego obecni dziś książkę jubileuszową wspomnieniu tych dobrze zasłużonych pismu święcą. Kilku z nich wybiło się na naczelne miejsce w literaturze, sławą okryło swe nazwiska, inni w dziennikarstwie zajęli wybitne stanowisko; ale iluż-to dało *Kurjerowi* wszystko z siebie! Wypisali się, utonęli na łamach *Kurjera*, gdzie śladu po nich — któż odszuka? I po co miałby wertować jakiś mól bibjoteczny komplety dziennika, aby w nich znaleźć artykuły na dobre w danej chwili, ale dziś bez żadnego znaczenia i w dodatku nie podpisane, tylko cyfrą, co najwyżej, podznaczone? O tych to ludziach można powiedzieć, że choć użytecznymi byli w *Kurjerze*, gdy w nim przetrawili długie lata lub życie całe, jednak nie pozostawili nic po sobie — umarli w całości.

Niech-że tym zapomnianym dziennikarzom niniejsza książka zastąpi doroczną biesiadę, niech im niesie gratyfikację wspomnień i toast dobrej pamięci!